

LUCYNA MIJAL

ur. 1952; Wrocław



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Konstancin ; Bilkiewicz, Krzysztof (1949-) ; Obory (k. Konstancina) ; Piaseczno ; Lublin ; PRL ; ulica Chodźki ; dzieciństwo ; wychowanie muzyczne ; edukacja ; edukacja muzyczna ; Wojewódzki Dom Kultury ; WDK ; klub Nora ; Estrada Lubelska ; Łoża 44 ; Bractwo Satyryczne Łoża 44 ; kabaret ; środowisko kabaretowe ; życie kulturalne ; występy kabaretowe ; programy kabaretowe ; konkursy ; festiwale ; 5-lecie Łoży 44 ; Akademia Medyczna ; W kolejce (program kabaretu Łoża 44) ; Rozpuszczalnik (program kabaretu Łoża 44) ; Błazucki, Lech ; Dębicki, Witold ; Ejsmond, Wojciech ; Fabian, Marek ; Kołenda, Stanisław ; Maiński, Andrzej ; Maksymiuk, Grzegorz ; Melaniuk, Mirosław (1955-) ; Michalec, Grzegorz ; Mijal, Marek (1955-) ; Pogorzelski, Henryk ; Rogalski, Jerzy (1948-) ; Rybak, Janusz ; Sopoćko, Mirosław (1948-) ; Szymański, Irosław (1946-) ; Tarkowski, Janusz ; Wójcik, Piotr

1. Pierwsze kroki

Urodziłam się 20 lipca 1952 roku we Wrocławiu. Tu muszę zrobić krótki komentarz. Mimo, że moi rodzice byli warszawiakami od pokoleń, tak się ułożyło ich życie, że kiedy wrócili po wojnie –ojciec z obozu, mama z robót –dostali bilet na Zachód. Nie pozwolono im zamieszkać w Warszawie. Dlatego ja i moje rodzeństwo urodziliśmy się we Wrocławiu. Po dziesięciu latach rodzice wrócili w okolice Warszawy, w okolice obecnego Konstancina-Jeziorna i tam już chodziłam do szkoły podstawowej. Moja szkoła nosiła i do dzisiaj nosi imię Stefana Żeromskiego. Tam poznałam jego córkę, Monikę. Malarkę, która w naszej szkole zostawiła portret swojego ojca. A przedtem mieszkaliśmy w takim miejscu, które się nazywa Obory. Jest tam pałac należący kiedyś do [szwagra] królowej Marysieńki, żony [Jana III Sobieskiego]. W tym pałacu od czasów powojennych mieścił się dom literatów, więc ja, jako dziecko miałam jeszcze takie szczęście, że znałam na przykład obydwóch panów Brandysów. Osobiście znałam [Jana] Brzechwę, bo pan Brzechwa bardzo lubił dzieci zawsze miał cukierki w kieszeni. A potem mieszkaliśmy już w Konstancinie. Tam skończyłam szkołę podstawową, potem uczyłam się w liceum w Piasecznie, a ponieważ już w szkole podstawowej byłam dzieckiem śpiewającym, tańczącym i klepiącym różne

wierszyki, to w szkole średniej było podobnie, i nawet w jakimś konkursie aktorskim dostałam nagrodę. I śpiewałam tak, jak wszyscy w konkursach piosenki radzieckiej. I był taki pan, który nazywał się Jonkajtis pamiętam, i on przyjeżdżał do nas z Warszawy na te konkursy, bo Piaseczno pod Warszawą to tak naprawdę koniec ulicy Puławskiej w kierunku południowym, to prawie jest dzielnica [warszawy], jeszcze chwila i pewnie nią będzie. I po jednym z konkursów po prostu przyjechał spóźniony, ja już zaśpiewałam swoje. [Spytał]: „Co śpiewałaś” to był starszy pan jak dla mnie wtedy, ja mówię, że śpiewałam „Balonik” i „Trzy Miłości” – „Jezus Maria, kto Ci pozwolił to zaśpiewać” bo to był jakiś rok [19]70 któryś i nie było rozsądnie śpiewać takie piosenki, czego ja w ogóle nie brałam pod uwagę oczywiście.

2. Jemu zawdzięczam najwięcej

Strasznie chciałam studiować coś, co jest związane z muzyką i mój kochany pan nauczyciel w podstawówce, a potem nauczyciel w szkole średniej, powiedział mi, że tutaj w Lublinie na takim nauczycielskim kierunku jest wychowanie muzyczne. On tutaj też zaczął chyba rok wcześniej pracować i przeniósł się później z całą rodziną. Pan Henryk Pogorzelski, to jest człowiek, któremu zawdzięczam najwięcej. Nie wiem, czy on jest docent doktor, w tej chwili to starszy pan, ale to jest człowiek, który rzeczywiście kochał swoją pracę. Prowadził chór i uczył nas muzyki na lekcjach. W chórze zawsze było nas bardzo dużo i jak szło wszystko dobrze to było widać, że on jest zadowolony, bo zrobiliśmy coś muzycznie dobrego. Zajmowanie się muzyką to nie jest taka przyjemność, to jest naprawdę praca, to jest ciężka praca. I on właśnie także zaraził mnie czymś takim. Powiedział mojej mamie, że jest taki kierunek i ja złożyłam tutaj papiery. Egzamin jak na tamte czasy, a to był [19]72 rok, był łatwy jak dla mnie. To był test z pytaniami typu: „Co to jest filharmonia” Jak ktoś miał słuch i jakie takie obycie to był w stanie dostać się na ten kierunek. To był pierwszy rok, który stał się kursem magisterskim. Na tym naszym roku był między innymi Zdzisio Ohar, dyrygent chóru [La Musica] to jest najlepszych chórów dziecięco-młodzieżowych w Lublinie. I dużo było takich osób szczególnych, jak Marek Fabian, aktor i artysta. Naprawdę dużo takich fajnych, interesujących [osobowości], bo to była troszeczkę taka zbieranina z całej Polski. Było nas dwadzieścia pięć osób i było super.

3. Był rok [19]74

Był rok [19]74 w Polsce odbywały się takie teleturnieje między [zespołami] młodzieży, zwłaszcza studentami –chyba Rzeszów, Kielce, o ile pamiętam, i Lublin. I były różne kategorie –była wiedza ogólna i szczegółowa, była kategoria kabaret i piosenka oczywiście też. I ja wtedy z moim kochanym kolegą z roku, góralem ze Szczawnicy Krościenka Andrzejem Krupczyńskim ułożyliśmy słowa piosenki do melodii z „Ojca Chrzestnego” – „Balladę o miłości strażaka i strażaczki” Nasi koledzy z roku –gdzieś mam zdjęcie jeszcze z tego [występu], mieli hełmy wypożyczone ze straży pożarnej,

bo w ogóle oni tworzyli orkiestrę dętą i w tej orkiestrze dętej pięknie nam grali właśnie tę balladę, a myśmy ją zaśpiewali. Śpiewaliśmy ją w takich portkach granatowych, drelichowych. To wszystko było celowe, bo wtedy raz w tygodniu we wtorki mieliśmy przeszkolenie wojskowe i dali nam takie spodnie ogrodniczki żebyśmy wszyscy byli jednolicie ubrani. Z tym, że te spodnie u mnie to się o tutaj [pod brodą] kończyły, bo oczywiście nie było dla mnie rozmiaru. Więc miałam te spodnie dotąd, a tu koralki oczywiście sobie zawiesiłam, bo byłam strażaczką, ale jednak kobietą. Była oczywiście publiczność, a w jury tego teleturnieju był między innymi pan Igor Śmiałowski, któremu bardzo się to spodobało. My śpiewaliśmy takim –to nie był normalny śpiew to było takie wygłupianie się –takim operowym, ale karykaturalnym [głosem]. –„Był sobie, strażak i strażaczka z jednej wsi. Kochała jego, nie wiedziała, że on wi” O, takie głupoty po prostu, ale myśmy to z takim przejęciem zrobili, że wygraliśmy swoją konkurencję. W kategorii kabaret [wystąpiła] Loża [44] i też mieli sukcesy w swojej konkurencji. I jak jechaliśmy w tamtą stronę to prawie się do siebie nie odzywaliśmy –bo Loża, to Loża, oni siedli sobie z tyłu. A my, cały rok tego naszego wychowania [muzycznego], wracaliśmy tak zadowoleni, że zaczęliśmy śpiewać. Oni śpiewali fantastycznie to byli sami chłopcy, zawsze byłam wrażliwa na męski śpiew zwłaszcza chóralny, zawsze mnie to wzruszało. I oni te wszystkie swoje piosenki typu „Konserwa” „Reklama” „Przedszkole” jak oni to śpiewali tam przy gitarze to było super. Ale my tak posłuchaliśmy, posłuchaliśmy. Ci moi koledzy, trochę koleżanek też było, my wszyscy byliśmy w chórze, i my też coś zaśpiewaliśmy. A jak jest taki śpiew pełen emocji, to wiadomo, że człowiek się mobilizuje okropnie. I podobno wtedy zostałam usłyszana. Już wcześniej Piotruś Wójcik jak wchodziliśmy do autokaru, mówi tak: „Ty, mała, my byśmy cię wzięli do Łoży” ja tak spojrzałam: „Też coś, jeszcze nie wiem czy będę chciała w ogóle” Ale podszedł do mnie Marek Fabian, właśnie i mówi: „Lucy to jest najlepszy kabaret w Lublinie i chyba w Polsce. Nie zastanawiaj się” ja sobie myślę „Acha skoro tak, to muszę pomyśleć” I tak to się stało, tak znalazłam się w Łoży i to był najpiękniejszy okres, naprawdę. Najpiękniejszy okres w moim życiu. Tak to się zaczęło w [19]74 roku. Była wiosna, potem była jesień, potem, przyszedł [19]75 rok i już zaczęłam chodzić na próby Łoży. Potem było nasze Grand Prix w Krakowie. Wtedy w komisji kultury działał mój przyszły mąż. Zainteresował się moją osobą i kiedy już wygraliśmy, on się kręcił koło nas, a w końcu sam przystąpił do Łoży i był przez cały czas, do końca. Pobraliśmy się później w [19]79 roku. Ja potem pracowałam, uczyłam dzieci i, oczywiście, prowadziłam chór przez całą swoją pracę zawodową. Dopóki mogłam jeszcze to z Łożą śpiewaliśmy i wyjeżdżaliśmy. To było strasznie fajne, sympatyczne.

4. Najlepsze to były występy dla publiczności

To, co było najlepsze to były takie normalne występy dla publiczności, zwłaszcza w tej drugiej połowie lat 70-tych. Gdzieś tak od [19]74 roku to było bardzo ściśle związane z tym, co dzieje się w kraju. Ja kiedyś nie zwracałam na to uwagi, ale

potem zaczęłam to rozumieć. I miało to swój konkretny wymiar na tych naszych występach. Te nasze występy [odbywały się] w studiu wojskowym Akademii Medycznej gdzie obecnie mieści się Centrum Kultury, tu przy Hempla [red. obecnie Peowiaków]. Tam tak normalnie mogło wejść 150 góra 200 osób, a wchodziło 300 i więcej, żeby tylko [nas obejrzeć]. Jak Irek Szymański, koledzy i ja robiliśmy 5-lecie, to był czwartek, piątek, sobota albo piątek, sobota i niedziela. I pierwszego dnia był powtórzony ostatni program, jaki był już zagrany, drugiego dnia była chyba premiera, czyli zupełnie nowy program. I to było powtarzane dwa razy. Był też tak zwany „Rozpuszczalnik” czyli teksty i piosenki, które były w wielu innych programach i to też graliśmy po dwa razy.

5. Akumulator na całe życie

Jaki zespół jest w stanie przygotować cztery albo nawet pięć tytułów, bo to były wszystko oddzielne programy, ucząc się, pracując normalnie. Wszystko robiliśmy sami, dekorację, światło, nagłośnienie. Wszystko nosiliśmy sami –sprzęty, kable. Każdy pracował, każdy nosił i zbierał te kable, każdy te dekoracje ustawiał. Wszyscy coś robili, wszyscy. Nie było czegoś takiego, że ktoś przyszedł i czekał aż będzie gotowe i zaczniemy próbę, absolutnie. Wszyscy robili wszystko i to było fantastyczne. I myślę, że to nas bardzo związało do dzisiaj, bo to się czuje. To jest coś takiego, że spotyka się tego kolegę czy koleżankę z zespołu i ona mówi: „Słuchaj, potrzeba mi nerkę” to mówi się: „No to masz” To jest właśnie coś takiego. I to jest piękne. wróć do tego, że podczas swojej pracy zawodowej zawsze mówiłam dzieciom, mam nadzieję, że niektórzy pamiętają, że trzeba robić coś więcej oprócz tego, że się człowiek uczy. Jeżeli masz chociaż namiastkę jakiegoś talentu to nie trzeba być od razu nie wiadomo, kim, tylko próbować. Dlatego, że życie w grupie, w zespole, który jest skupiony na jakimś działaniu to jest zupełnie inna jakość. Poza tym jest to tak niesamowicie rozwijające, to tak wychowuje człowieka, że naprawdę jest to akumulator na całe życie.

6. Próby na Chodźki

Z tego, co ja pamiętam, od tego momentu, kiedy ja zaczęłam na nich bywać, próby odbywały się zawsze w pierwszym akademiku na ulicy Chodźki. To był ten pierwszy akademik po prawej stronie, jak tylko zaczynały się akademiki. Wtedy przy ulicy Chodźki naprzeciwko szpitala Jaczewskiego, po prawej stronie idąc od Obywatelskiej była jakaś stara cegielnia, a potem zaczynały się akademiki. I w tym pierwszym akademiku na parterze było takie spore pomieszczenie w jakiś sposób wywalczone i uzyskane od władz Akademii, gdzie pozwolili Irkowi przeprowadzać próby. Ponieważ te próby zaczynały się o godzinie 19-tej, a trwały nawet do 24-tej i graliśmy [na instrumentach], to było głośno, to prawda. Więc tym studentom, którzy mieszkali nad nami to troszeczkę było ciężko i trudno, co rozumiały. Więc my tę całą salę wykleiliśmy takimi płytkami piłśniowymi. To chyba mój mąż i Janusz Rybak najwięcej

wyklejali. Na Butapren, więc oni musieli wietrzyć, co jakiś czas, bo to była naprawdę trudna [praca], ale wyciszyliśmy tę salę, żeby te próby mogły tam być. Był taki obyczaj, że jak ktoś się spóźniał za bardzo, czy w ogóle jak się ktoś spóźnił, bo wszyscy mieli być o 19-tej, to dostawał takiego klapsa salonowca od wszystkich, którzy już byli. Więc ja to przeżyłam raz, dwa, może trzy razy, ale starałam się żeby już więcej tego nie było. To zresztą był bardzo dobry zwyczaj, bo uczył szacunku dla innych, że trzeba się starać, żeby wszyscy byli, że szkoda czasu. Próby prowadził zawsze Irek, ale zanim się zaczęła próba to oczywiście było trzeba troszeczkę porozmawiać, co się widziało, co się słyszało, [opowiedzieć] ostatnie dowcipy, kawały i tak dalej. Potem dopiero zaczynała się próba. I to nie były takie bezmyślne próby, coś się działo w świecie, w Polsce w tym czasie i teksty Irka bardzo często pięknie się komponowały z tym obrazem, który był za oknem, więc naszych komentarzy było mnóstwo i często było tak, że ćwicyliśmy jeden program, ale drugi tworzyliśmy jednocześnie ponad tym. To było tyle śmiechu, tyle zabawy, tyle takiej swobody, że można było coś komuś powiedzieć bezkarnie, że nic nikomu nie groziło z tego powodu. To było fantastyczne. Najlepiej pamiętał teksty Leszek Błazucki, teraz pan doktor w Chełmie. Leszek głównie śpiewał, ale też i na gitarze grał i do tej pory pamięta je wszystkie. Drugi człowiek, który pamiętał wszystkie teksty to był Miruś Melaniuk, teraz pan doktor naczyniowiec z Lublina. Mirek grał na klawiszach, czyli na organach i często tak siedział i: „Kiedy oni coś powiedzą, kiedy zaśpiewają” bo on miał tylko grać. Musiał mieć dobrą pamięć, bo często, jak oni, ci nasi mówiący koledzy zapominali tekstu, to Mirek zawsze podpowiadał. On to lepiej pamiętał niż oni. Irek bardzo wymagał uczenia się na pamięć, to było konieczne i słuszne zresztą. Krążyły legendy o tym jak oni –to nawet chyba na 5-leciu było takie przedstawienie – scenografii, jak to u Irka Szymańskiego, był wieczny bałagan, a oni w tych bambetlach w tym bałaganie zawsze mieli schowany skrypt z tekstami. Potem, po latach przyznali się, że Irek o tym nie wiedział, a oni tam ciągle zaglądali do tego, żeby sobie podpowiedzieć, bo nie pamiętali tekstu.

7. Inni ludzie, inne miejsca Łoży

Kiedy robiliśmy program w studio wojskowym to również próby robiliśmy tam, zwłaszcza przed tym 5-leciem. Jeśli jakaś premiera była, to wtedy też wolno nam było wcześniej wejść, żeby się przygotować, przewieźć sprzęt i tak dalej. Były takie osoby w Łoży, które nie śpiewały, nie występowały prawie na scenie, a jednak były niezbędne. To był na przykład Janusz Tarkowski, który był takim naszym prezesem i swego czasu skarbnikiem Łoży. Był Krzysio Bilkiewicz, który zajmował się elektryką, był Stasio Kolenda, który [w akademiku] mieszkał w pokoju obok razem z Grzesiem Michalcem. Stasio studiował matematykę, ale był dźwiękowcem doskonałym. Zresztą w tej chwili pracuje w Telewizji Polskiej. Więc mieliśmy takich już specjalistów prawie. I na 5-leciu już chyba Stasio był, jak jeździliśmy na wyjazdy to oni też z nami jeździli. To było bardzo ważne, żeby był dobry sprzęt, nagłośnienie. To było niezbędne.

Przede wszystkim dlatego, że nasze przedstawienia, programy Irka, a zwłaszcza teksty mówione i piosenki miały taki walor, że publiczność reagowała. A jak publiczność reaguje to robi się głośno. A przecież i wtedy trzeba dalej mówić i trzeba być słyszalnym. I ktoś musi nad tym panować po prostu. Był taki czas, kiedy, to były lata 80-te, trochę prób robiliśmy w Wojewódzkim Domu Kultury na [ulicy] Dolnej Marii Panny. Później również w Hadesie w podziemiach w obecnym Centrum Kultury. Tam robiliśmy dwa albo trzy lata z rzędu takie kolędowe spotkania, więc i próby też były tam. Dopóki Loża była w całości i ta grupa ludzi, która [ją tworzyła] studiowała jeszcze, to spotykaliśmy się na Chodźki, ale później to już tak, gdzie się dało, żeby tylko tekst przypomnieć, bo niektórzy pokończyli studia i wyjeżdżali w teren, w świat, mieli rodzinę i tak dalej. Potem, po naszej ostatniej premierze był taki program „Wyrobisko” i „W kolejce” wtedy próby robiliśmy w Klubie Dziennikarza to jest podwórko przy Krakowskim Przedmieściu i [Klub] Nora tak zwana. Pan Gogolewski ówczesny dyrektor teatru Osterwy był tam na naszej premierze i też bardzo mu się podobało. W Norze robiliśmy właśnie ten program „W kolejce” i „Fragment [Większej Całości]” Ze mną to było tak, że miałam troszkę zdrowotnych problemów i wtedy, na początku lat 80-tych tak się trochę wykruszyłam. Wróciłam dopiero później, jak już moje dzieci podrosły i jak wróciłam, to już robiliśmy coś w Hadesie. Kilkorga nie ma już wśród nas, ale Piotrusia [Piotr Wójcik] żał mi szczególnie, ponieważ to był niesamowity talent aktorski. On był świadomy tego, że jest naprawdę świetny tylko on to tak rozdawał za darmo, bawił się tym. To naprawdę był świetny chłopak, gdyby trafił w dobre ręce, byłby naprawdę doskonałym aktorem. Poza tym miał ogromne poczucie humoru, zresztą wszyscy mieliśmy poczucie humoru. Tam nie można było inaczej. Jakby ktoś nie miał poczucia humoru i dystansu do siebie to by się tam nie zatrzymał za długo.

8. Jury zawsze miało z nami problem

[Występowaliśmy] na różnego rodzaju konkursach, festiwalach, czyli Kraków przede wszystkim, [nagroda] Złote Rogi Kozicy. To był taki moment szczególny, bo to był właśnie [19]75 czy (197)6 rok, nie pamiętam, ale publiczność została, jak to się mówi, powalona na łopatki. Zresztą z nami był zawsze problem, bo jury nie wiedziało, co z nami zrobić. Kiedyś, pamiętam, byliśmy w Łodzi, jest spotkanie z jury po jakimś czasie i ktoś z jurorów pyta: „No dobrze, to powiedzcie ile osób u was śpiewa w Estradzie Lubelskiej” a my [nie rozumiemy] –w jakiej Estradzie w ogóle. Jak śpiewaliśmy piosenkę typu „Konserwa” czy „Reklama” to każdy tam śpiewał tak jak czuł, ale miał tą swoją muzykalność i to było tak rozpisane na głosy w głowie każdego i czysto zaśpiewane, dobrze zaśpiewane, że oni nie wierzyli nam, że tu nie ma profesjonalistów, że to nie są amatorzy. Tak się zdarzało. We Wrocławiu jury nie wiedziało, co zrobić z Lożą, bo Loża miała formułę taką teatralną troszeczkę. Zresztą Irek kiedyś sam powiedział, że dla niego wzorcem był Kabaret Starszych Panów. Tylko Kabaret Starszych Panów prezentuje inną estetykę, inny obraz i tak dalej, a tu

był zawsze bałagan, jakieś nie to, że śmieci tylko stare graty zardzewiały i to dodatkowo podkreślało oczywiście walor treściowy tego, co zostało powiedziane na scenie, pokazane strojem i grą kolegów –zawsze trzech –którzy to prowadzili. I piosenka, która tak podsumowywała to wszystko, że robiło to ogromne wrażenie. Potem jury się zastanawiało czy to nie jest jakaś ściema, że to są jacyś fachowcy. Nie wiedzieli, naprawdę. Nie znajdowali dla nas kategorii. Kiedyś byliśmy w Lidzbarku, oczywiście też na tych zawodach kabaretowych, byliśmy w Białymstoku, tam też robiliśmy koncert dla środowisk studenckich i to był fantastyczny występ, to był szaf po prostu. Zresztą weźmy program „Rozpuszczalnik” jak Piotruś z Grzesiem to prowadzili, jak oni wpadali w taki fajny rytm. I ta ich zabawa językiem angielskim. To były lata 70-te, koniec lat 70-tych, więc ta znajomość języka angielskiego nie była taka powszechna. Ktoś, kto znał język to był dumny, że go zna, a tu mało tego –jeszcze umie się bawić tym językiem, bo umie sobie żartować, robić takie korespondencje językiem angielskim. Piotruś, jako anglista i Grześ, który jest polonistą i językowcem i też sobie doskonale z tym radził, oni robili to po prostu fantastycznie tak, że tam po każdym przecinku był powód żeby była nagroda za to, co oni powiedzieli. Publiczność była naprawdę zachwycona, więc to było super. Jak się robi występ i widać, że ci ludzie po prostu szaleją z radości i są zachwyceni, podoba im się i to trafia wszystko do nich, to jest największa nagroda, bo o to chodziło głównie. Przecież po to wszystko to robiliśmy, dlatego żeby to zrobić.

9. Pamiętam, że Jurkowi na początku nie było łatwo

Pamiętam na pewno jak była pierwsza Ballada [red. Spotkania z Balladą] robiona, to była Ballada Szpitalna [Medyczne Spotkania z Balladą], to wtedy jeszcze Jurka z nami nie było. Był jeszcze Wicio –Witek Dębicki. Potem Wicio wyjechał i była następna Ballada chyba Piekielna [Piekielne Spotkania z Balladą] i wtedy już był Jurek [Jerzy Rogalski]. Ja pamiętam jak Jurkowi było trudno się zegrać, bo [aktorstwo] to jest rzemiosło, to są pewne umiejętności, których nasi koledzy nigdy ani nie ćwiczyli ani nie rozumieli, że jest jakaś i na czym polega współpraca między aktorami na scenie. Oni wszystko robili intuicyjnie i tak jak Szymański kazał. I tak zawsze było i dobrze, zresztą. Pamiętam, że Jurkowi nie było łatwo, bo on też widział w nas teatr na początku, a tu się okazało, że wcale tak do końca nie jest. Ja Jurka w ogóle uwielbiam, on jest bardzo dobrym aktorem, bardzo lubię słuchać jak on mówi. W Hadesie Jurek czytał wiersze Irka, to po prostu można tak słuchać i jeszcze echo jest po tym, bo do człowieka dokładnie wszystko trafia z tego, co on mówi. Ma bardzo dobry głos. Jurek po latach zrozumiał przede wszystkim to, że bardzo wiele dzieje się w tej warstwie emocjonalnej i [opiera się na] wzajemnej znajomości swoich temperamentów i charakterów między chłopakami, czyli tu rzemiosło aktorskie naprawdę niewiele ma do rzeczy, tutaj wszyscy się muszą akceptować, czego nie musi być gdzie indziej na scenie, w filmie. Bo tam jest po prostu rzemiosło. U nas było inaczej, jakby nie było chemii między nami wszystkimi, to by się no nie udało

tego zrobić, bo właśnie na tym to polegało. Ja wejście Jurka wspominam, że tak powiem z wielką atencją, sympatią i uważam, że to Łoży bardzo dobrze zrobiło. Wiadomo było, że jest dwóch wariatów w Łoży, bo już Grzesio ze swoją fizjonomią i Maciek Wijatkowski stali się też bardzo znani. To były twarze, które się po prostu pamiętało. A jak dołączył jeszcze Jurek do tego, to był taki bukiet super. Naprawdę to był znak rozpoznawczy Łoży i treści, które za nimi idą. Stylu dowcipu, sposobu rozmawiania, sposobu obserwowania pewnych rzeczy. Tak, że przyście Jurka zrobiło Łoży bardzo dobrze, chociaż dla niego samego na pewno nie było to łatwe. On nas lubił oczywiście, ale on i tak zawsze będzie miał swoje zdanie co do tego, co my robiliśmy na scenie. Jednak ta amatorska gra z tym tekstem Irka nas wyróżniała. Tak czasami bywa. Trzeba być Nikiforem.

10. Zastrzelił mnie do mikrofonu

Program podczas 5-lecia to był, jak mówiłam, wielki wysiłek. „Wyrobisko” to była taka koncepcja programu, że szykujemy wielkie przedstawienie na jakąś tam rocznicę i były co jakiś czas różne występy i treść, która była przewodnia, oczywiście. Była tam też taka scena, kiedy Wojtek Ejsmond z kimś rozmawia, a ja zza sceny miałam robić takie wokalizy, które były słyszalne oczywiście na widowni. Wojtek wtedy krzychał: „Uciszcie ją” i miałam być uciszona strzałem z pistoletu. Były dwa korkowce w Łoży. Były, ale jak był występ to te pistolety zawsze się gdzieś gubiły. I Miruś Sopoćko, mój bardzo często kolega przy mikrofonie, który w ciemności nie bardzo dobrze widział, wziął taborecik gdzieś tam za sceną, gdzie była smuga światła. Ustawił sobie te trzy korki, trzy takie te nabożki i stanął z młotkiem. Ja patrzę, co on robi, zaczynam [śpiewać], a Miruś puk [młotkiem]. Wszystkie trzy koreczki się rozsypały, więc on niewiele myśląc po podłodze puk, puk, puk. Wtedy Wojtuś krzyczy: „Uciszcie ją” ale ja już nie wiem, co mam robić. To było naprawdę coś niesamowitego, bo mieliśmy świadomość tego, że przecież tam musi to zagrać tylko, co my zrobimy? Mirek w końcu [krzyknął]: „Puf” do mikrofonu z tyłu i tak mnie zastrzelił.

11. Anegdoty

W programie podczas 5-lecia był taki moment, w którym było uroczyste poświęcenie już nie wiem, czego, ale było kropidło i woda święcona. Nie była to, oczywiście, woda święcona tylko mieszanka perfum radzieckich iluś tam rodzajów. Perfumy radzieckie słynęły z bardzo intensywnego aromatu, zapachu, który trzymał się jak stal. Janusz Dubejko to robił, pan doktor kardiolog. Pomaczał [kropidło] w miseczce i poświęcił publiczność. Niektórzy znajomi mówili, że tego zapachu nie dało się w żaden sposób [wywietrzyć] ani wywabić i na koszulkach pozostały żółte plamy. Mimo, że my często za kulisami rozrabialiśmy, to ja byłam zdyscyplinowana, miałam te swoje doświadczenia szkolne, chóralne, jako muzyk dla mnie to była świętość, że nie wolno się spóźnić, nie wolno się pomylić, nie wolno nikogo zawieść. Chłopcy mieli tremę i mimo że była rozpiska i wiedzieliśmy, kto jest, po kim, to próbowali to sobie jakoś

uporządkować. My wszyscy byliśmy chórkami, ale też każdy właściwie chyba miał swoją piosenkę. Albo chociaż zwrotki poszczególne to właściwie każdy zaśpiewał, tak mi się wydaje. Gienio Maksymiuk śpiewał piosenkę, która zaczynała się słowami, „Kto ma pecha, ma pecha, to ma nieszczęść kupę” i występował przed Mirkiem Melaniukiem. Na organach grał Jędrus Maiński. Nie stosował nut tylko miał swoje znaczki i tymi znaczkami tam po ciemku coś sobie zapisywał. Ale miał jeszcze jedną tajemnicę. Taką mianowicie, że on siedział za kulisami z jednej strony, a my wchodziliśmy zza kulis z drugiej strony i on patrzył, kto z kolei będzie wychodził. A że wiedział, co kto śpiewa, to widząc daną osobę kładł ręce na klawisze i wtedy zaczynał [właściwą] piosenkę. Gienek tam stanął, więc Jędrus myślał, że to Gienio będzie śpiewał, więc cyk akord „Kto ma pecha, ma pecha” Na to Gienek, jak usłyszał swoją muzykę, wyszedł na swój występ. Na co Irek Szymański mówi: „To nie ty” Jędrus szybko zaczął grać co innego a Gienio tak stanął zaśpiewał tylko „Kto ma pecha, ma pecha ma nieszczęść kupę” ukłonił się i wyszedł. Za chwilę wreszcie wyszła ta osoba, która miała śpiewać swoją piosenkę. Ktoś mógł pomyśleć, że było to zamierzone, bo to tak wyglądało. Zresztą wszyscy najbardziej baliśmy się gniewu Irka. Nie był to lęk połączony z zagrożeniem fizycznym, czy jakimkolwiek innym, ale tak bardzo wszyscy przeżywaliśmy, tak chcieliśmy, żeby było dobrze, żeby nie zepsuć tego, co on stworzył i wymyślił.

Data i miejsce nagrania	2016-09-05, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"